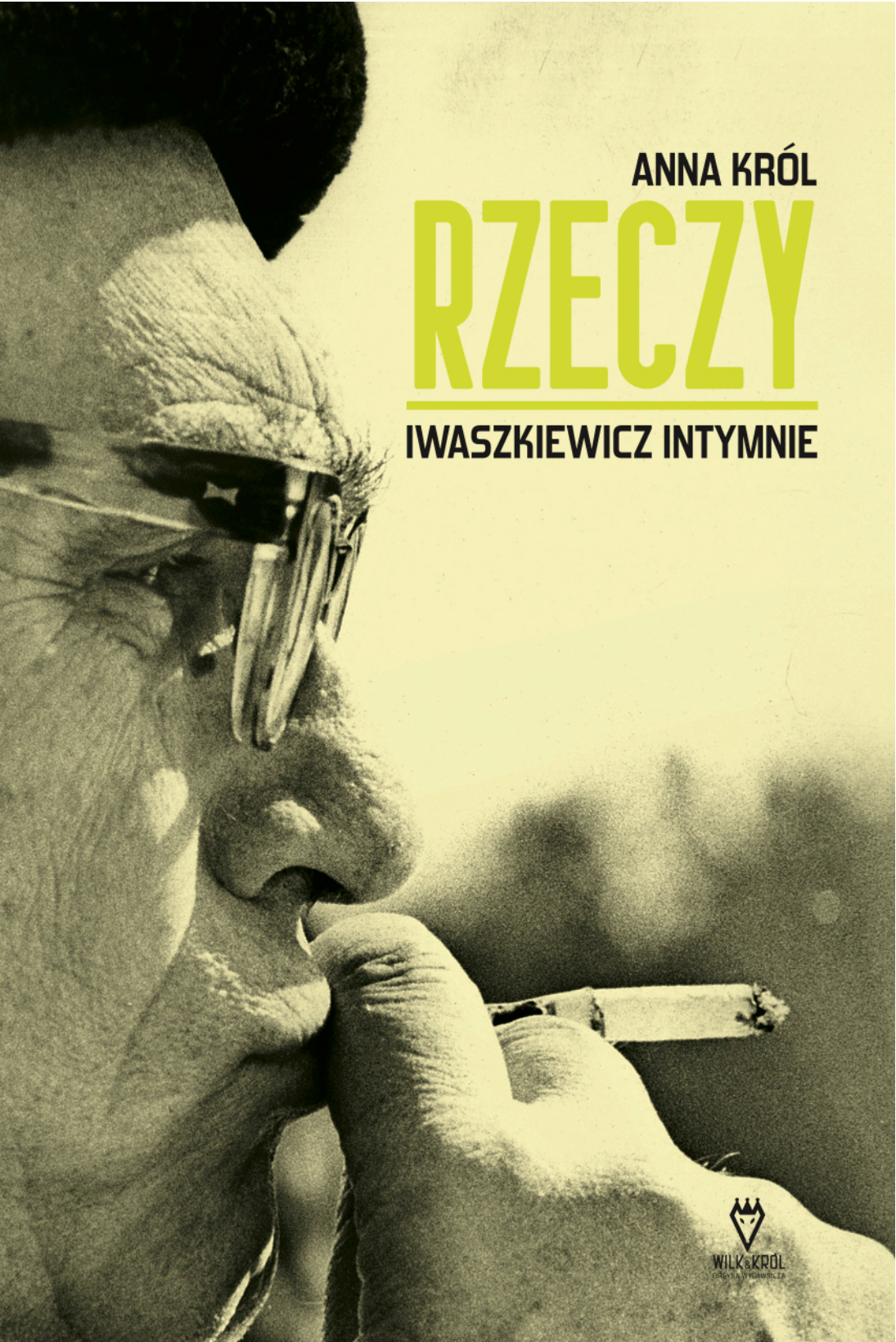




ANNA KRÓL

RZECZY

IWASZKIEWICZ INTYMNIE



WILK & KRÓL
www.wilkikrol.pl

rozdział piąty

CHRYSTUS O KRZYWYCH NOGACH





5.

W 1882 roku niemiecki uczony Robert Koch odkrył prątek gruźlicy. Do końca życia nie udało mu się jednak opracować skutecznej metody walki z bakterią i jeszcze przez lata po tym przełomowym odkryciu zarażenie *Mycobacterium tuberculosis* uważano za wyrok śmierci. Najczęściej stosowaną metodą leczenia gruźlicy była kuracja klimatyczna i zapadowa. W uproszczeniu polegała ona na wywożeniu chorych do górskich miejscowości, gdzie w zdrowym klimacie mieli dużo odpoczywać i przybierać na wadze. Górskie powietrze dawało ulgę osłabionym płucom, pozwalało lżej oddychać. Chorym podawano również tlen do opłucnej, by powodować odmě, bezwietrzność i w ten sposób odcinać prątki od tlenu. Takie leczenie nie było szczególnie skuteczne i chorzy najczęściej jednak umierali. Ci, których stać było na długotrwałą kurację, spędzali w sanatoriach wiele miesięcy. Powrót do domu wywoływał pogorszenie stanu zdrowia i cały proces należało zacząć od nowa. W 1943 roku naukowcy po raz pierwszy zaczęli podawać chorym antybiotyki. Efekt leczenia, początkowo uważany za rewelacyjny, niestety również okazał się krótkotrwały. Po pierwszej poprawie prątki stopniowo stawały się odporne na lek. Dodatkowo nowy specyfik był bardzo toksyczny i choć leczył gruźlicę, niszczył wzrok, nerki i serce. Choroba i tak wracała z tą samą albo większą intensywnością, a wraz z nią przerzuty.

Najczęstsza – gruźlica płuc – wędrowała po organizmie i wywoływała zmiany w węzłach chłonnych, nerkach, kościach, prostatie.

Przed wszystkim jednak gruźlica oznaczała wykluczenie społeczne. Chorych z przyzwyczajenia traktowano jak trędowatych. Tymczasem – nazywana wprawdzie chorobą ubogich i ludzi z marginesu – atakowała wszystkich. Dręczyła artystów, uśmiercała ludzi z towarzystwa i córki zamożnych ziemian. Po drugiej wojnie światowej zachorowalność przybrała skalę epidemii. Ludzie powracający z obozów, wypuszczani z więzień, idący z frontem chorowali masowo. W Polsce w połowie lat pięćdziesiątych niemal każdy miał w rodzinie lub wśród znajomych osoby chore bądź takie, które zetknęły się z chorobą. Iwaskiewicz również był z gruźlicą oswojony. Wprawdzie nie chorował nikt z jego najbliższej rodziny, ale z powodu wycieńczenia organizmu zainfekowanego prątkami, jeszcze w latach trzydziestych, zmarł kuzyn pisarza Karol Szymanowski i bliski przyjaciel, poeta Jerzy Liebert. Stykał się także z chorymi odwiedzającymi Stawisko w czasie powstania warszawskiego, a jako poseł odpowiadał na prośby o zapomogi od chorych, których nie było stać ani na leczenie, ani nie byli w stanie pracować. W socjalistycznej Polsce lat pięćdziesiątych, gdzie tak bardzo ceniło się ciężką fizyczną, liczba młodych ludzi żyjących na marginesie społecznym właśnie z powodu gruźlicy była wysoka i bardzo nie na rękę twórcom oficjalnych statystyk.

Gruźlików wykluczano. Budzili strach i odrazę. Od kaszlących odwracano głowy, chorym nie pozwalano zbliżać się do dzieci, a ręce po kontakcie z zarażonymi myto spirytusem. W Stawisku znany był paniczny strach Anny przed gruźlicą. Trudno jej było się powstrzymać, by nie zabraniać ukochanemu Szymanowskiemu całowania na powitanie jej kilkuletnich wówczas córek. A gdy w domu przyjmowali kogoś chorego, nadzorowana przez Annę

służba długo po odwiedzinach feralnego gościa przecierała wszystkie powierzchnie szmatką maczaną w roztworze spirytusowym.

Trochę łaskawiej traktowano gruźlików w kręgach artystycznych. Gruźlica dodawała twórcom tajemniczości, co pozwalało odwrócić uwagę od fizycznych spustoszeń. W połowie ubiegłego stulecia wszyscy – bez względu na pochodzenie i stan portfela – z nadzieją czekali na przełom w medycynie, a jednocześnie próbowali pogodzić się z losem. Chorzy nie mogli pracować ani normalnie żyć. Szkodziły im ostre słońce i silny wiatr. Wykańczało zimno i męczył upał.

Jednym z nich był Jerzy Błeszyński, ukochany Jarosława Iwaszkiewicza. Chłopak pochodzący z robotniczej, niezamożnej rodziny zachorował na gruźlicę prawdopodobnie w czasie wojny. W młodości nie miał szans na drogie i skomplikowane leczenie i dopiero w latach pięćdziesiątych dzięki pomocy pisarza kolejne stadia choroby zalecał w sanatoriach i podczas domowych kuracji. Zastrzyki, inhalacje, okłady i eksperymentalne specyfiki sprowadzane przez przyjaciół Jarosława z zagranicy nie przynosiły poprawy. Był zbyt młody, by stać się kuracjuszem snującym się bezsilnie w wygniecionej piżamie, i dodatkowo pogarszał swój stan na własne życzenie. Nie przestrzegał zaleceń obowiązujących w sanatoriach. Nie dbał o siebie. Nie odpoczywał. Przeziębiał się, palił papierosy, nawet zimą jeździł na motocyklu i niezdrowo się odżywiał. Wolał rujnujące zdrowie pozory normalności niż kuracyjny reżim i piętno śmiertelnie chorego. W ostatnim stadium choroby cierpiał na chroniczny kaszel, z trudem oddychał, wychudł, a w ciele mnożyły się przerzuty.

W 1965 roku po raz pierwszy w leczeniu gruźlicy zastosowano naprawdę nowoczesną terapię. W ciągu kilku lat chorzy,

uważani dotychczas za nieuleczalnych, zaczęli wracać do zdrowia. Zamiast latami wegetować w sanatoriach i prewentoriach, przechodzili na kuracje antybiotykowe. Jerzy nie doczekał tego przełomu. Skrajnie wykończony umarł w niewielkim szpitalu w Turczynku, w czwartek 28 maja 1959 roku. Miał dwadzieścia siedem lat i mówiło się o nim, że był zabójczo przystojny. W kostnicy, położonej w lesie blisko szpitala, żegnał go niepokodzony z jego śmiercią Iwaszkiewicz:

Na drewnianej ławie leżał zupełnie nagi trup Jurka. Był bardzo chudy, wyschnięty, ręce i ramiona jak u św. Franciszka, nogi wychudzone, a stopy spuchnięte. Twarz wyglądała lepiej niż w wigilię. Górę korpusu miał czystą i pięknie rzeźbioną, nogi smukłe i bardzo owłosione czarnym włosiem. Na przeponie miał dwa czarne znaczki, o których często mówiliśmy. Zbliżyłem się do ławki i patrzyłem na to nieruchome, bardzo piękne ciało, podobne do krucyfiksu ze słoniowej kości. Był bardzo, okrutnie zimny – jak lód. (...) Objąłem go przez plecy, odczuwając ich szerokość, ich masyw, obciągnąłem koszulę i dotknąłem tego miejsca u nasady kości pacierzowej, wgłębienia nad kością ogonową, która jest najbardziej intymnym miejscem męskiego ciała.

Jedenastego, w poniedziałek wróżyłem z Pisma Świętego.

Wypadł mi werset ze św. Łukasza:

„I stało się, gdy upłynęły dni urzędu jego, że odszedł do swego domu”.

Pięć dni wcześniej, rano, w sobotę 23 maja, Jarosław Iwaszkiewicz był jeszcze w Moskwie. Gościł na zjeździe pisarzy Związku Radzieckiego. Zgodnie z planem delegacji miał przed sobą ostatnie wystąpienie. Część grupy, do której go przydzielono, miała

wracać do Warszawy dopiero w poniedziałek. Nieprzytomny z niepokoju o to, co się dzieje z Jurkiem, który został w Polsce w stanie krytycznym, to starał się zająć myśli czymś innym, to zabiegał o możliwość szybszego wyjazdu. Trzeba powiedzieć, że ostatecznie uciekł stamtąd, gdy tylko uzyskał od Wiktora Borysowa, ówczesnego przewodniczącego Komisji Zagranicznej Związku Pisarzy ZSRR, oficjalne zwolnienie z ostatnich dni zjazdu i zgodę na wcześniejszy powrót do Warszawy.

Teraz jego samolot kołował nad Okęciem. Włączono sygnalizację „zapiąć pasy” i uśmiechnięte stewardesy przechadzały się między fotelami, sprawdzając, czy pasażerowie zastosowali się do zalecenia pilota.

– Proszę pana, proszę zgasić papierosa. Za chwilę lądujemy.

Iwaszkiewicz, wyrwany z zamyślenia, popatrzył nierozumiejącym wzrokiem na ładną, młodą blondynkę.

– Słucham?

– Dolatujemy do Warszawy, proszę przygotować się do lądowania.

Spojrzał na maleńki niedopałek, właściwie sam ustnik, który trzymał w wielkiej, jak o niej mówiono: robotniczej i silnej dłoni, poznaczonej niebieskimi żyłami i niewielkimi brązowymi plamkami. Jeden paznokieć był zadarty i drażnił palec. Poślinił go i wyjrzał za okno. Zdusił nieskończonego papierosa w metalowej popielniczce wmontowanej w siedzenie. Było w niej już kilkanaście wypalonych w czasie lotu silesii. Wyprostował się w wysokim fotelu i próbował spokojnie oddychać. Raz jeszcze wyjrzał przez prostokątną szybę. W Warszawie był piękny, słoneczny dzień.

Nie miał dużego bagażu. Najpotrzebniejsze rzeczy spakował do podręcznego kuferka, osobno niósł tylko dodatkowy strój wieczorowy – dzięki temu wszystko miał ze sobą na pokładzie

i pozwolono mu ominąć kontrolę bagażową. Sobota na ogół była na Okęciu ruchliwa, ale tego dnia leciało niewiele osób i na lotnisku wiało pustką. Gdy tylko opuścili pokład, od razu pożegnał się zdawkowo z Putramentem i tą częścią delegacji, z którą pozwolono mu wrócić, i wydostał się z hali przylotów. Hania czekała na niego przed wyjściem. Stała sama. Wydała mu się szczególnie mała. Długą siwą grzywkę szarpał wiatr, chociaż starała się ją osłonić, zawiązując pod brodą lekką, kremową chustkę. Mimo że było ciepło, jego żona miała na sobie gruby sweter, na nim starą marynarkę, która na jej kruchym ciele przypominała bardziej znoszony płaszcz. Wszystko to dodatkowo okutała wełnianym szalem.

– Jeszcze żyje. – To wszystko, co powiedziała, niemal szepcąc, kiedy do niej podszedł i delikatnie pocałował w policzek.

Na parkingu przed halą przylotów czekał na nich Szymon. Szybko wyjechali z miasta, prosto na drogę grodziską. Nikt nic nie mówił, a jednak było jasne, że jadą do Turczynka, do szpitala, w którym od kilku dni leżał Jerzy.

* * *

Szpital gruźliczy w Turczynku, położonym niedaleko Stawiska i Brwinowa, nie przypominał lecznicy ani topornego budynku przychodni, tak charakterystycznych dla architektury socjalistycznej. Wyglądał raczej jak tajemniczy pałac, a wraz z otaczającym go lasem tworzył bajkową scenerię. Nic dziwnego – jego historia sięga końca XIX wieku. Wówczas Wilhelm Wellisch, zamożny finansista żydowskiego pochodzenia, zlecił Łódzkiemu architektowi Dawidowi Lindemu wykonanie projektu dwóch willi. Jedną szykował dla siebie, drugą dla Jerzego Meyera. Panowie nie tylko się przyjaźnili, lecz także byli skoligaceni. Obaj ożenili się

z rodzonymi siostrami Toeplitzównami. Hieratyczne pałace wykończono w 1905 roku. Zostały zbudowane w tak zwanym stylu kurortowym, charakterystycznym dla podmiejskich sanatoriów, niezbyt popularnym na tamtych terenach. Do dziś wzbudzają zdziwienie swoją eklektyczną architekturą z wieloma elementami gotyku i renesansu. Finansiści i ich rodziny niedługo cieszyli się niezwyklej domostwem. W czasie drugiej wojny światowej, jak we wszystkich porządniejszych budynkach w okolicy, i u nich zamieszkali Niemcy. Ostatecznie rodzinę właścicieli o żydowskich korzeniach wygnano z posiadłości stosunkowo późno, bo dopiero w grudniu 1941 roku, gdy warszawscy Żydzi zamieszkiwali już getto. W czasie kilkuletniej okupacji oba budynki zostały wielokrotnie ograbione. Hitlerowcy wywieźli wszystko, co mogło mieć jakąkolwiek wartość, resztę tuż po powstaniu warszawskim rozkradli sąsiedzi. Mówi się, że do dziś w niektórych domach w Turczynku można znaleźć bieliznę pościelową, obrusy czy garnki z kuchni Meyerów i Wellischów. W styczniu 1945 roku Niemców zastąpili Rosjanie, którzy w willach urządzili sztab dowodzenia pułku pancernego. Podobno na ceglanej ścianie jednego z budynków folwarcznych namalowali dużą kolorową mapę sytuacyjną frontu zachodniego, obejmującą obszar od Warszawy do Łodzi. Po 1945 roku oba pałace dawna właścicielka Wanda Wertenstein przekazała państwu. W odradzającej się Polsce miały służyć ludowi pracującemu. W 1948 roku władze zdecydowały o przeznaczeniu imponujących willi na placówkę Centralnego Ośrodka Szkoleniowego Związku Młodzieży Polskiej. Dziesięć lat później junacy wyprowadzili się, ustępując miejsca wychudzonym chorym z prątkami gruźlicy. Szpital od początku nie cieszył się dobrą sławą i był powszechnie nazywany „wykańczalnią”. Nowych sąsiadów nie polubili też okoliczni mieszkańcy. Nie podobało się im, że chorzy, ubrani w liche piżamy, spacerują pod

ich oknami, przechodzą przez szpitalne ogrodzenie, kradną owoce i kwiaty. Od strony ulicy Brwinowskiej Turczynek sąsiaduje z majątkiem Stawisko i służba Iwaszkiewiczów nieraz przepędzała nieproszonych gości z posesji pisarza.

Po likwidacji ośrodka leczenia gruźlicy w latach siedemdziesiątych do zniszczonych już wówczas domów przeniesiono na kilka lat szpital rejonowy. Okoliczni mieszkańcy, znów nad wyraz pomysłowi, mówili o nim „Trupczynek” i niechętnie korzystali z pomocy lekarskiej oferowanej przez placówkę. Dziś oba budynki, ponownie sprywatyzowane, stoją puste i popadają w ruinę. Okna i drzwi zabito deskami, metalowe zdobienia zardzewiały, mury obłazą z farby. Niegdyś cuda architektury, dziś tak nie pasują do otoczenia, że kiedy wychodzi się z lasu na polanę, na której stoją, bliźniacze, identycznie zniszczone wille wydają się przywidzeniem.

Zatrzymali się na chwilę w domu. Tam zostawili Hanię, bagaże, zabrali drobne rzeczy potrzebne w szpitalu. Po kilku minutach Szymon ponownie wyprowadził auto na drogę brwinowską, z której kawałek za Stawiskiem skręcili w lewo. Kilkadziesiąt metrów dalej podmiejska szosa zmienia się w piaszczysty szlak spacerowy.

Jechali w milczeniu. Na tym odcinku na całej długości – od głównej trasy do szpitala – droga prowadziła przez las, intensywnie pachnący o tej porze roku. Kiedy przez drzewa zaczęły prześwitywać dobrze znane kontury dwóch podniszczonych willi, sielski klimat ustąpił miejsca szpitalnemu, a zapach lasu mieszał się z wonią lizolu, chloru i chorych. Jarosław znał ją doskonale. Tak pachniała Hania po wyjściu ze szpitala w Tworkach, tak

pachniał Jurek, którego odwiedzał w ubiegłym roku w sanatoriach w Gostyninie i Kruku.

Jurek leżał w drugim domu, tym należącym niegdyś do rodziny Wellischów, położonym trochę bardziej na wschód, bliżej ścieżki i ściany lasu. Droga do willi prowadziła przez nieistniejący już ogród. Z powodu remontu głównego holu wchodziło się przez dawną kuchnię. Piotrowski zaparkował auto blisko werandy. Wyszli bez słowa.

Jak na zwolnionym filmie Jarosław długo szedł po schodach, zwracając uwagę na łuszczącą się farbę, odchodzącą całymi płatami z okiennic i futryn, na to, że schody prowadzące na pierwsze piętro były dekorowane metalowymi, rzeźbionymi kwiatami, i na kurz zalegający pod stopniami. Wszystkie zmysły miał wyostrome i zauważał mało istotne szczegóły. Potem, kiedy wspominał tamten dzień, zawsze najpierw przypominał sobie, że kilkunastometrowa droga od wejścia do pokoju Jerzego składała się z czterdziestu trzech kroków. I pamiętał doskonale każdy z nich.

Ze schodów ruszyli dalej prosto i zaraz skręcili na prawo. Pokój Jurka położony był na początku niewielkiego korytarza. Kiedy dotarli na miejsce, jeszcze przez chwilę stali za przymkniętymi drzwiami, obserwując przez mleczną szybę cienie znajdujących się wewnątrz postaci. Dopiero kiedy wejdą do środka, staną się żywymi – jeszcze żywymi pacjentami.

Pokój był wąski jak kiszka, miał może cztery metry długości. Jurek zajmował łóżko w głębi, pod oknem. Jarosław odliczył wzrokiem pozostałych pięciu pacjentów i bezwiednie rozluźnił węzeł krawata. W środku było gorąco i bardzo duszno. Na dworze wiosna w pełni, a tu wszystkie okna były zamknięte.

Jerzy siedział na metalowym podniszczonym łóżku, z nieruchomym wzrokiem utkwionym gdzieś ponad głowami

wchodzących, trzymając szpitalną nerkę przy zniekształconej twarzy. Blisko niego, po lewej stronie, leżał kolejny pacjent – młody przystojny blondyn. Miejsca było akurat tyle, żeby postawić na podłodze stopy i przecisnąć się do wąskiego przejścia między pozostałymi łózkami. Nocnych szafek już nie dałoby się wstawić. Jerzy swoje rzeczy trzymał na parapecie okna. Miał tam mały, biały, metalowy kubek szpitalny z odpryśniętą emalią, jakiś zeszyt, z którego wystawały rozdarte koperty, i zielony grzebień. Nie poruszył się, kiedy do pokoju weszli kolejno: jego była żona Halina, opiekująca się nim od kilku dni, Jarosław i Szymon.

Jarosław od razu zauważył, że Jerzy był jeszcze chudszy niż kilka dni temu, kiedy żegnał go przed wylotem do Moskwy. Miał na sobie bordową piżamę z cienkiego płótna, tę, którą kupił dla niego w Monachium. Chyba nigdy wcześniej jej nie nosił. W tym niepasującym do okoliczności, zbyt dobrym ubraniu i w tej nieruchomej pozie, jaką przyjął, było jakieś dramatyczne staranie. Żeby za wszelką cenę wyglądać porządnie. Jasne było, że do końca będzie udawał, że on, pan życia, nic sobie nie robi z tego starego szpitala. Zupełnie jak ktoś, kto przysiadł na trzeszczącym metalowym łóżku tylko na chwilę, tak jak się siada na ławce w parku, pomyślał Jarosław. Gdyby tak było, Jurek mógłby teraz wstać i uśmiechnąć się jak zwykle – trochę nonszalancko, trochę po chłopięcemu. Tak jak uśmiechał się do niego zawsze, kiedy czekali na siebie na peronie kolejki czy w jakiejś restauracji. Zamiast piżamy włożyłby kapelusz i ulubione okulary z ciemnymi szklami.

Ale Jerzy nie wstawał. Nie dlatego, że nie chciał. Nie miał już siły, żeby podnieść nogi, żeby zmusić się do ruchu. Spodnie od piżamy były pomięte i chyba nieświeże. Jedna nogawka, trochę wyżej podwinięta, odsłaniała fragment łydki. Bardzo szczupłej,

z gęstymi czarnymi włosami, bladej i trochę sinawej. Już ten widok wydał się Jarosławowi przygnębiający. A jednak najgorsze były stopy – wielkie, jakby nie jego. Jakby je ktoś dokleił przez złośliwość do tego pięknego ciała. Trzymał je, ciężkie jak kłody, na linoleum. Jedną bosą, drugą schowaną w przydeptanym pantoflu kąpielowym. Opuchnięte stopy ze śladami zmian gangrenowych stanowiły odpowiedź na pytanie, dlaczego Jerzy siedzi tak nieruchomo. Kiedy goście zbliżyli się do łóżka, poruszył się niespokojnie i nerwowo przysunął do siebie kartkę i ołówek. Już właściwie nie mógł mówić. Pielęgniarka uprzedziła ich, że od wczoraj podawano mu tlen, po którym czuł się trochę lepiej, i rano przez chwilę normalnie oddychał. Co jakiś czas udawało mu się wydobyć z gardła obcy, głęboki, charczący głos. Najczęściej przeklinał wtedy, na czym świat stoi. Po kilku słowach głos grzął mu w spuchniętej krtani i pozostawały kartka i niewielki ołówek. Z trudem oderwał kawałek papieru i coś powoli pisał. Potem podał kartkę Szymonowi.

„Nie chcę, żebyście mnie takiego oglądali. Idźcie sobie. Wy nie rozumiecie, jak mnie denerwuje, że wy mnie tak widzicie”.

Goście szybko przebiegli wzrokiem po zapisanym papierze.

– Jerzy... – Jarosław był zszokowany stanem przyjaciela i nie potrafił tego ukryć.

Jerzy odsunął od twarzy małą metalową miseczkę, którą trzymał przy ustach. Ściekała do niej gęsta, przezroczysta ślina.

– Ja nie chcę, żebyś mnie widział w takim stanie – wychrypiał ledwie słyszalnie, strasznym głosem. Potem już tylko patrzył. Wyglądał okropnie.

Lekarz, z którym rozmawiali w drodze powrotnej na korytarzu, powiedział, że rano był u niego ksiądz i że chory „zamówił sobie pogrzeb na czwartek”.

To za pięć dni... – pomyślał Jarosław.

W czwartek 28 maja wypadało Boże Ciało, a w szpitalu dzień odwiedzin. Jarosław przyjechał do Jurka tuż po obiedzie, tym razem oprócz Szymona towarzyszył mu Wiesiek Kępiński. Zanim weszli do sali, uprzedzono ich, że pan Błeszyński tak się rano awanturował, że trzeba go było związać.

– Związać?... – Nawet bał się wyobrazić sobie, co to mogło oznaczać. Porozumieli się wzrokiem i raptownie otworzyli drzwi do sali chorego.

Jerzy leżał na brzuchu, tyłem do nich, z głową odwróconą w stronę okna, gwałtownie łapiąc powietrze. Wyglądał jeszcze słabiej niż dwa dni temu. Ciało zmieniło proporcje, ramiona miał bardzo chude i plecy wydawały się przy nich wyjątkowo szerokie. Przez środek kręgosłupa był przewiązany prześcieradłem, jego zakończenia tworzyły jakby materiałowe kajdanki, którymi dłonie płasko przytwierdzono do łóżka. Brakowało mu siły, żeby samemu się z nich wypłatać, i leżał tak, dysząc, jak ogromne bezbronne dziecko. Z trudem odwrócił głowę w stronę przybyłych i patrzył błagalnym wzrokiem to na Jarosława, to na chłopaków. Trudno było ten wzrok wytrzymać. Szymon złapał pod rękę Wieśka i pociągnął go w stronę wyjścia. Zbiegli szybko po schodach, potem dalej, przez werandę. Zatrzymali się dopiero przy stojącym w słońcu samochodzie.

Jarosław zbliżył się do łóżka i zaczął gładzić Jurka po mokrych, zmierzwionych włosach.

– Ciiiiii. Już dobrze. Ciiiiii – szeptał do niego jak do chorego dziecka, nie przestając głaskać spoconej głowy. Jurek powoli uspokajał się i oddychał teraz ciszej. Przymknął oczy i tylko unoszące się regularnie plecy zdradzały, że oddycha.

Jarosław klęczał przy starym, metalowym łóżku, w pokoju, w którym nikt nic sobie nie robił z jego obecności, i przez głowę przemknęła mu myśl, że może po raz ostatni dotyka tego chłopaka żywego.

Rzeczy. Iwaszkiewicz intymnie

Wilk & Król Oficyna Wydawnicza

Wydanie pierwsze, Warszawa 2015

© Copyright for text by Anna Król, 2015

© Copyright for photographs by Olga Świątecka

© Copyright for this edition by Go Culture sp. z o. o.

ISBN 978-83-935837-7-5

Redakcja: Tadeusz Lipiński

Korekta: Anna Sidorek

Okładka, projekt graficzny: Anna Król

Skład i łamanie: Piotr Trzebiecki

Promocja: Go Culture. Komunikacja dla kultury

www.goculture.pl

Zdjęcie na okładce - archiwum Muzeum w Stawisku/FOTONOVA

Fotografie otwierające rozdziały

Str. 19, 44-45, 67, 94-95, 126-127, 154-155, 181, 210-211, 236-237, 260-261, 292-293, 317, 334-335, 356 - Fot. Olga Świątecka. Fotografie wykonano w Muzeum im. Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów w Stawisku.

Str. 362-363 - SAP/archiwum Muzeum w Stawisku/FOTONOVA

Dziękujemy Muzeum im. Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów za zgodę na fotografowanie przedmiotów należących do pisarza.

Miała rok, gdy zegnał się ze światem. Nigdy się nie spotkali. Trzydzieści pięć lat później otwiera jego szafę. Z czułością ogląda podszewki garniturów, odkrywa zagubione guziki, tubki kremów do golenia, bilety kolejowe, poplamione wciąż krawaty i zapiski na marginesach. Ze szpargałów, którymi nikt się nie zajmował, Anna Król układa na nowo opowieść o Jarosławie Iwaszkiewiczu, jednym z najważniejszych polskich pisarzy XX stulecia.

Odnalezione przedmioty prowadzą do jego spraw codziennych, uczuć i literatury. Dlaczego tak obsesyjnie notował w tanich brulionach? O czym rozmawiał z psem? Czego wstydził się przed ukochanym? Niczym w filmowym scenariuszu drobiazgowa dokumentacja pozwala stworzyć sceny z życia Iwaszkiewicza i towarzyszyć mu w najintymniejszych momentach.

**INTENSYWNA I SPLĄTANA BIOGRAFIA UKAZANA JAKO WIELKA ULOTNOŚĆ.
PIĘKNA HISTORIA O TYM, JAK PRZEMIJAMY. I JAK NIESPODZIANIE CZYJAŚ
CIEKAWOŚĆ PRZYWRACA DO ISTNIENIA.**

Fascynujący eksperyment dla wszystkich, którzy chcą zobaczyć w pisarzu człowieka.
Ludwika Włodek, prawnuczka Jarosława Iwaszkiewicza

Wspaniała książka. Jaka szkoda, że nie ja ją napisałam.
Magdalena Parys, pisarka

*Jeśli pozostanie po nas tylko guzik, jaką historię opowie kolejnym pokoleniom?
Jeśli ktoś zajrzy kiedyś do naszych - z pozoru nieistotnych - notatek, co sobie pomyśli? Dzięki książce Anny Król otrzymujemy Jarosława Iwaszkiewicza najbardziej intymnego z intymnych. A do tego - fascynującego.*
Michał Nogaś, Program 3 Polskiego Radia

CENA 49 zł



Tytuł jest dostępny również jako e-book.
Wilk & Król Oficyna Wydawnicza | www.wilkikrol.pl | **Wydajemy, bo to lubimy!**